



ZORZ

Jurek Radziwiłowicz to jedyny mężczyzna, z którym mam ślub kościelny. Po nakręceniu sceny naszego ślubu do filmu „Człowiek z żelaza”, ksiądz, który nam go udzielał, wziął nas na bok i zapytał, czy nie mieliśmy przypadkiem prawdziwych intencji. Odpowiedzieliśmy, że nie. Wtedy odetchnął i powiedział, że gdybyśmy mieli, ślub byłby w zasadzie ważny.

Nie mieliśmy intencji, ale coś tajemniczego nas wiąże, od pierwszego spotkania w „Człowieku z marmuru” do dzisiaj.

Widujemy się rzadko, prawie zawsze przy okazji zawodowych obowiązków, za każdym razem rzucamy się na siebie z radością i nic ani nikt, łącznie z reżyserem, nie jest nam w stanie przeszkodzić w gadaniu i w cieszeniu się z tego spotkania...

Mówię do niego „Żorz”. Dlaczego?

Słyszałam tyle razy, w wielu miejscach na świecie, jego imię przekęcane: Żerzi, Jerzi, Jurak. Ale odkąd poznałam go naprawdę – a było to w Paryżu – został Żorzem.

Jurek zawsze był mrukiem. Milczącym, zamyslnym, niechętnym, mrocznym typem, czytającym przy każdej okazji i w każdym towarzystwie książki. Przez całe lata nie słyszałam i mało kto słyszał, żeby cokolwiek mówił, oprócz tekstów ról, oczywiście.

Pewnego dnia spotkaliśmy się z okazji pokazu jakiegoś filmu w Paryżu. Zobaczyłam go z daleka, otoczonego tłumem gości festiwalowych, dziennikarzy, uśmiechniętego, jasnego, rozluźnionego i... gadającego, gadającego, gadającego. Myślałam, że śnię. Mówił po francusku, odpowiadał po angielsku, z pasją, z ożywieniem. Klócił się, dyskutował, miał niezmierną cierpliwość do nocnych dyskusji artystycznych (które mnie całe życie nudziły) z awangardowymi twórcami, teoretykami filmu i teatru, z różnymi świrami, analizującymi świat przez sztukę, których zawsze pełno przy takich okazjach. Nad ranem wstawał od stołu i do mnie, śmiertelnie znudzony i zmęczony mówił: – Teraz idziemy na spacer po Paryżu. I szedł – z gołą głową, z rozwianymi włosami, charakterystycznie, z pierśią do przodu, z rękoma odrzuconymi w tył. Tak jak w „Człowieku z marmuru”, gdy pijany szedł z cęglą w rękę na komitet partii. Ten sam niesamowity, charakterystyczny chód. Jakby z nonszalancją zdobywał przestrzeń, a ja patrzyłam, patrzyłam i nie mogłam się napatrzeć.

Kiedy z uśmiechem połknął już całe powietrze w Paryżu, mówił: – A teraz śniadanie tu a tu... Jakby kupował świat. Potem widywałam go w Polsce, znów smutnego, osobnego mruka, jakby uspiętego, obrażonego niedźwiedzia. I znów spotkałam go, na przykład w Berlinie, i znów bon vivant, szaloputa, uśmiechnięty król życia sypiący dowcipami.

Potem przeżyliśmy okres kręcenia we Wrocławiu filmu „W zawieszaniu”. Poznałam innego Żorza, ciepłego, cichego, delikatnie uśmiechniętego, organizującego, jak to nazywał, „domowe wieczory” po zdjęciach, u mnie w pokoju hotelowym. To znaczy: przychodził w kapciach, zamawiał kolację do pokoju, włączał telewizor i oglądał jakieś mistrzostwa w piłce nożnej, albo czytał gazetę. Wychodził, kiedy skończył się mecz, albo gazeta, po cichutku, nie wiem kiedy, bo już dawno spałam. Lubiłam te wieczory, a on pewnie nie chciał być sam. Film, który kręciliśmy, był miły, lubiliśmy w nim grać, wymagał od nas wykonania podstawowych zadań aktorskich, chcieliśmy wtedy napisać razem książeczkę, zatytułowaną „Mały aktor”, czyli poradnik sztuki aktorskiej dla amatorów. Żorz miał robić miny, ja miałam go fotografować. Planowaliśmy rozdziały, takie jak na przykład „Przebudzenie poranne grać” albo „Lekarza grać” w opracowaniu gościnnym Andrzeja Łapickiego, czy też „Indianina grać”, omówione na negatywnym przykładzie Bruno O’i.

Potem wielokrotnie widywałam Żorza w Polsce, za granicą, w Polsce, za granicą. I zawsze TAM Szalony Smakosz Życia, TU Mruk. TU Jurek – TAM Żorz.

I przyszedł taki dzień, gdy spotkałam go po kilku latach w Warszawie. Grał Don Juana, którego zresztą sam przetłumaczył. Poszłam do niego do garderoby. I co widzę? Żorz! Uśmiechnięty, rozluźniony, otoczony gośćmi. Mówił! Mówił! Mówił! Zdumiona obserwowałam go cały wieczór, także w trakcie przyjęcia, na które poszliśmy razem. Nie mogłam uwierzyć, że to był Jurek. W końcu zrozumiałam, że to nie on się zmienił, tylko Polska się zmieniła. Uświadomiłam sobie, że „Człowiek z marmuru i żelaza” żył w innym kraju.

Rano umówiliśmy się pogadać, przeszliśmy razem przez Nowy Świat, ludzie uśmiechali się do nas, a Żorz się wcale nie złościł, tylko im się „oduśmiechał”, szeroko, promieniście i szedł tak samo jak kiedyś, w Paryżu. Jakby go pierś niosła, a nogi zostawały trochę z tyłu. Powiedziałam do niego, trochę splotając sprawę: – Jesteś dowodem na to, że w Polsce jest kapitalizm...

Niedawno spotkaliśmy się na planie francuskiego filmu, kręconego w Zakopanem. Obserwowałam go z niepokojem. Ale nie! Jest! Uśmiechnięty Żorz z Paryża! Z ulgą pomysłam, że może w tej Polsce jednak jakoś idzie do przodu. ✚

Krystyna Janda